Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – afrykanista i poeta





Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-1994) – znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej oraz polski poeta i Margaret Laurence (1926-1987) – dziennikarka i ceniona pisarka kanadyjska, fot. arch. „Nowego Dziennika”.

Florian Śmieja

Kiedy przed laty szedłem z Bogumiłem Andrzejewskim elegancką ulicą londyńską Strand, zaczął trąbić i zatrzymał się koło nas rasowy samochód, a jego pasażerowie z okrzykami radości uprowadzili mojego towarzysza z sobą. Byli to wysokiej rangi członkowie rządu somalijskiego, którzy rozpoznali swojego wielkiego przyjaciela i dobroczyńcę, ba, jednego z ojców zreformowanego języka somaljskiego.

Wtedy w Londynie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych rojno było od niezwykłych rodaków zamieszkujących czasowo angielską metropolię. Pamiętam, jak po żonę, elegancką blondynkę, przychodził po wykładach Polskiego Uniwersytetu Na Obczyźnie postawny Marian Nowakowski, bas królewskiej opery Covent Garden, co obserwując bliżej wnioskowaliśmy, że w domu śpiewał innym głosem; w czytelni biblioteki British Museum furczał czerwony na twarzy zwalisty Stanisław Cat-Mackiewicz, szukając śmiałka, który się odważył wypożyczyć jego ulubioną lekturę, „Herbarz” Bonieckiego; ktoś chwalił się,

że widział brzoskwiniowej cery generała Mariana Kukiela zaręczając, że wyglądał jak żywy; w okolicach Russell Square spotykałem nieśmiałego poetę i afrykanistę, Bogumiła Witalisa Andrzejewskiego. Przedstawił mi go mój ówczesny szef, dr Jerzy Pietrkiewicz, który go znał od 1944 roku.

Część obowiązków młodego lingwisty Andrzejewskiego polegała na skrupulatnym zapisywaniu głosów Somalijczyków w ciasnym biurze mieszczącym się naprzeciwko nieomal lokalu wydawnictwa Faber and Faber, do którego regularnie przychodził wtedy jeszcze T.S. Eliot. Ponieważ kamienica, w której uczyłem, również znajdowała się przy Russell Square, bardzo mnie radowało zacne sąsiedztwo. Pietrkiewicz wspomina o pieczołowicie nagranych taśmach, które dziś przechowuje amerykański uniwersytet Indiana. Także sam autor mówi o nich w wierszu:

Jedni po bibliotekach siedzą nad książkami.

Inni po starych rękopisach wodzą błędnym okiem

A ja teraz trwam w pobliżu Russell Square pochylony w nasłuchu

Prawie rybim, nad koliskami magnetofonowych taśm.

Wiem, że to już był dalszy etap pracy, bo jeszcze pamiętam Bogumiła nagrywającego na drucik, pierwsze nagrania, jak zapamiętałem, były na zwojach drutu. Lecz nie tylko nagrywał, zachwycał się także egzotycznym językiem:

O jak piękne dźwięki wykształcili nasi bracia z pustyni i puszcz

W swych rozlicznych mowach!

Słucham, a tu biją

Metaliczne samogłoski, mocne jak z gardzieli spiżowego wołu..

Pokochał nie tylko język tak odmienny, ale dostrzegał również jego bogactwo i sprawność, w odróżnieniu od ludzi, którzy nie zadawali sobie trudu, by go gruntownie poznać, on natomiast przepłynął „na drugą stronę semantycznego Styksu”. W liście do Pietrkiewicza z Somalii wraz z rękopisem wiersza „Kraje legendarne” informował: „Pieśni, które śpiewają na wieczornych zgromadzeniach są tak czarujące i jak chodzi o melodie, i

poetyckość słów i rytm. Człowiek słuchając zatraca poczucie rzeczywistości i zdaje się, że śni.”

Bogumił Witalis Andrzejewski urodzony w Poznaniu w 1922 roku, uszedł z Polski kiedy wybuchła wojna i zawędrował do Palestyny. Jako żołnierz Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich bronił Tobruku w 1941 roku i tam został ranny oraz debiutował jako poeta w prasie żołnierskiej. Obserwując nocami niebo zanotował w „Dziwach niebieskich w Tobruku”: „Pustynia pod sklepieniem nieba. Gwiazdy błyszczą. Ale są bardzo dalekie. Gwiazdy są samotne, pustynia jest bezdomna.” Z pomocą obleganym pospieszyła polska rezerwa z Egiptu, w tym mój Teść, który w swoim pamiętniku opisał niefortunną wyprawę, która po zbomardowaniu przez niemieckie lotnictwo, musiała zawrócić do Aleksandrii.

Dziesięć lat później ta jałowizna pustynna miała zawezwać do siebie adepta języków kuszyckich, a szczególnie języka somalijskiego. Jako absolwent Oksfordu pojechał na stypendium do Afryki, którą miał potem jeszcze odwiedzać trzynaście razy, w tym trzykrotnie na całoroczne pobyty.

W czasie pierwszej naukowej wyprawy w latach 1950-52 poznał młodą kanadyjską dziennikarkę, która później miała stać się wybitną pisarką, Margaret Laurence (1926-1987), wraz z mężem inżynierem znalazła się wtedy w Somalii, wówczas

jeszcze brytyjskim protektoracie.

Margaret, osierocona przez matkę, kiedy miała cztery lata, pozyskała wspaniałą macochę w ciotce swojej, a siostrze matki, która będąc nauczycielką angielskiego, a później bibliotekarką, wcześnie już zachęciła ją do czytania i pisania. Pisać zaczęła jeszcze w szkole, a także ogłaszać pierwsze teksty. Po ukonczeniu filologii angielskiej została dziennikarką w prowincji preryjnej Manitoba. Po poślubieniu inżyniera, pojechała wraz z nim na kontraktową pracę do Afryki, gdzie powstały jej pierwsze książki o tematyce związanej z Czarnym Lądem.

Laurence jest autorką szesnastu książek, z których najważniejszy jest cykl powieści „Madawaka", nazwany tak od jej domku letniego w Kanadzie. Do nich zalicza się najgłośniejsza powieść „Kamienny anioł", której bohaterka, starsza kobieta, wspomina swoje długie życie malując z maestrią krajobraz i obyczaje wsi w Manitobie na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku.

Kanadyjka, dzięki spotkaniu z Andrzejewskim w Somalii poznała somalijską literaturę ustną i z jego zachętą i wydatną pomocą zaczęła tłumaczyć fragmenty tej literatury na język angielski. Tak powstała jej pierwsza książka, "A Tree for Poverty" (Drzewo biedoty), zbiór przekładów poezji i prozy somalijskiej z obszernym wstępem.

„Miałam szczęście poznać Goosha Andrzejewskiego. Polaka, który tu się znalazł z żoną Angielką, by studiować język somalijski” – tak pod datą 4 września 1951 roku pisała Margaret Laurence do swojej przyjaciółki Adeli Wiseman w Kanadzie z miejscowości Hargeisa, stolicy administracji brytyjskiej.” Jest on czymś w rodzaju eksperta od języka somalijskiego i jest bodaj jedynym Europejczykiem, który z nimi potrafi rozmawiać na różne tematy w tym na podstawowe jak miłość, wojna itd. Jego asystent Musa Ismail (Galaal – przyp.FS), Somalijczyk, jest wielkim miłośnikiem literatury somalijskiej”.

W wydanej w 1963 roku książce podróżniczej „Wielbłądzi dzwonek Proroka” znajdziemy wiele szczegółów autobiograficznych, a także nawrót do spotkania autorki z Andrzejewskimi. „Guś (jego prawdziwe imię brzmiało Bogumił a zdrobnienie wymawia się goosh) był Polakiem, mężczyzną wysokim, o pogodnej i prawie orientalnej twarzy, wysokich kościach policzkowych, nieco skośnych oczach. Był poetą w swoim ojczystym języku.

– To prawda, ale co mi z tego? – powiedział z głęboką słowiańską melancholią.

W Polsce nie można mojej poezji drukować a kogo w Anglii obchodzi wydawanie wierszy pisanych po polsku?

Jego nastrój zmieniał się jak wahadło. Niespodziewanie wybuchał śmiechem oferując nam somalijskie dowcipy albo i własne zabarwione lekką makabrą. Językiem somalijskim władał swobodniej niż jakikolwiek Europejczyk w kolonii, bo przybył badać język somalijski i jego fonetykę.

Sheila, żona Gusia, była ładną i zdolną Angielką. Wszystko robiła bez najmniejszej ostentacji, tak że dopiero po upływie pewnego czasu stawało się jasne, że była chyba jedyną w kolonii Angielką, która sama gotowała.

– Lubię gotować – mówiła – więc dlaczego nie miałabym gotować'?

Guś jadł zachłannie, ale nigdy na wadze nie przybierał. Podczas wojny, kiedy uciekał z Polski, często, przymierał głodem. Kiedy wreszcie dotarł do Anglii, wstąpił do Wolnych Polskich Sił Zbrojnych, a po skończeniu się wojny poszedł na studia do Oksfordu. Teraz gotowała dla niego Sheila z czułością, jakby mu chciała zadośćuczynić za wszelkie prywacje, które wycierpiał. Wszystko gotowała na malenkim prymusie, a potrafiła nawet przemyślnie upiec ciastka, które nazywała biskwitami, robiąc z patelni piekarnik.

– Nie czuję się żadną panią – przyznała.

Ja czułam to samo. To odkrycie bardzo nam dodało otuchy”

W korespondencji z 1963 roku Laurence napomknęła, że Guś Andrzejewski wywierał na nią bardzo dobry wpływ.

Przyjaźń z Andrzejewskimi trwała i tak po przyjeździe Margaret Laurence do Anglii donosiła ona w liście z 25 kwietnia 1965, że często widuje się z Gusiem i Sheilą, że akurat ubiegłego wieczoru u nich była. “Guś należy do najdzielniejszych i najlepszych. Nigdy nie zapomnę, kiedy tu przyjechałam dwa i pół roku temu, jak próbował bardzo, bardzo taktownie dodać mi otuchy opowiadając mi przysłowia: ‘Wśród ludzi Barona Gallo, jest powiedzenie…’ Jego przekładami posłużyłam się w artykule o Szalonym mulle’’. Jeszcze w liście do Andrzejewskiego z 25 listopada 1971 roku usprawiedliwiając niemożność przyjazdu do Londynu nawałem pilnej pracy, zapraszała do siebie na weekend.

Pisząc o twórczości Margaret Laurence Clara Thomas podkreśla, że jej technika pisarska wiele zawdzięcza Afryce, ucho autorki wyczuliło się na subtelne odcienie znaczenia podczas słuchania somalijskich opowieści oraz ich komentarza i obróbce literackiej z tłumaczem, którym jak wiemy, był w pierwszym rzędzie Bogumił Andrzejewski, nie tylko znakomity filolog i miłośnik literatury somalijskiej, ale także oryginalny polski poeta.

„Drzewo biedoty” powstało w pośpiechu. Laurence nie znała języka somalijskiego i nigdy się go nie nauczyła dostatecznie, ale z młodzieńczą pasją i wielką ambicją paliła się do odkrywania nowego obszaru zainteresowania. Argumentowała, że obecni w kolonii Brytyjczycy nie wiedzieli nic o istnieniu literatury somalijskiej i że należało im tę lirykę i epikę pokazać jak najszybciej.

Spytawszy Musę, czy by nie można było przełożyć próbek tej ustnej literatury, o której słyszała, na język angielski, spotkała się ze stanowczym zaprzeczeniem. Andrzejewski natomiast, choć również powściągliwy, takiej możliwości nie wykluczał i zgodził się pomóc. Margaret wnet mogła napisać, że przystępuje do pracy troje ludzi: ona, Musa i Andrzejewski.

Wspólne przekładanie odbywało się w następujący sposób: „Musa znał wiele *gabei* i *below*, posiadał też bogatą znajomość tła i stylu poezji somalijskiej. Choć jego znajomość angielskiego była dobra, musiał subtelność słów przedyskutować z Gusiem po somalijsku. Guś i ja z kolei omawialiśmy te wersy po angielsku a ja notowałam znaczenia dosłowne, implikacje słów, odnośniki do somalijskich tradycji lub obyczajów. Wtedy byłam w stanie później pracować nad tymi materiałami i próbować ułożyć je w formę zbliżoną do wiersza przy maksymalnym zachowaniu znaczenia i ducha oryginału. Dużo było tekstów poetyckich, które mogliśmy przygotować, ale czas był ograniczony, więc

ruszyliśmy zaledwie powierzchnię.”

Lawrence zakończyła pracę edytorską wierszy dostarczonych jej przez Andrzejewskiego i Musę i wzięła się za prozę. Niektóre opowiadania otrzymała w formie dokładnego przekładu również od nich. Te dosłowne wersje próbowała następnie oddać po angielsku dbając o zachowanie jak najwięcej dramatyzmu oryginału. Ponieważ inne opowiadania słyszała od Somalijczyków po somalijsku lub po angielsku, a więc niepełnie, zostały one sparafrazowane, choć autorka zaręcza, że wiele z tonu i ducha udało jej się zachować. Skarżyła się przy tym że odkąd zabrakło Andrzejewskiego i Musy, nie było nikogo, kto by znał na tyle angielskiego, by dokładnie tłumaczyć.

Była zadowolona z rezultatów zorganizowanej pospiesznie współpracy, gdyż ubolewając nad stratą pomocników, dodała: „Ale udało mi się, nim wyjechali, uzyskać dosłowne tłumaczenie wielu wierszy i opowiadań. Obecnie jestem w trakcie przetwarzania ich na , mam nadzieję, literacką angielszczyznę!” Wyjaśnia proces przekładania starając się zachować wierność i wstrzymać się od dodawania swoich wtrętów, zapewnia przy tym, że każde słowo dodane, wynika jakby z ducha utworu.

Pisząc do tej samej przyjaciółki 8 czerwca 1953 roku donosiła, że „Guś Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych

przysyła mi dalsze dosłowne przekłady wierszy, nad którymi pracuję. Bierze się teraz za bardziej złożone i długie somalijskie gabei, które będąc znakomite po somalijsku, są okropne dla tłumacza, by uzyskał rezultat w przybliżeniu podobny do oryginału. Cieszę się niemniej przeto, że nad nimi pracuję, tak dla samych utworów, jak dlatego, że utrzymują mnie na bieżąco w somalijskiej formie myślenia i wyrażania się."

Choć publikując swoją pierwszą książkę Lawrence opatrzyła ją podziękowaniem i jasnym stwierdzeniem, że „Te przekłady nie powstałyby bez szczodrej pomocy Musy Haji Ismaila Galaala oraz B.W.Andrzejewskiego, którzy dostarczyli mi dosłownych przekładów wierszy i tłumaczeń dokładnych opowiadań…" wyczuwam powstanie pewnego nieporozumienia między Andrzejewskim i Laurence. Różnica zdań mogła była wyniknąć z powodu pisowni oryginałów somalijskich. Prosiła o nie Laurence w liście z 21 lipca 1951 roku, kiedy Andrzejewscy pakowali się, by powrócić do Anglii. Nas zainteresują szczegóły warsztatu translatorskiego Kanadyjki.

„W związku z *balwo* na temat zębów dziewczyny przypominających kawałek białej kory, zauważcie, że dodałam linijkę niż było w somalijskim. Niemniej nie dodawałam niczego jeśli chodzi o znaczenie a jedynie dodałam frazę o drzewie *galol* oraz drobiazg o Zailah. Postąpiłam tak, gdyż a) kora pochodzi z drzewa galol i wydawało mi się bardziej jasne niejako. Jest ono w

wierszu i tak implikowane; b) wers o perłach Zailah… Pamiętam, Sheilo, że gdyś o tym rozmawiała z Omarem, myślałaś ze miał na myśli perły. Skoro więc one były w założeniu (I w rzeczy samej wypowiedziane) w wierszu, dodałam w Zeilah, myśląc, że pośrednio to było implikowane i dodało atmosferze wierności. To był trudny wiersz, bo po angielsku ludzie nie mówią o zębach kobiety, chyba że reklamując pastę do zębow. Dlatego czułam, że trzeba to zrobić bardziej egzotyczne nieco i osobliwe niż spotykamy zazwyczaj w poezji somalijskiej. Obraz byłby do przyjęcia, gdyby stanowił część zupełnie innej kultury, ale nie gdyby oddać go w realiach zupełnie angielskich. Dlatego też użyłam 'Allah' zamiast 'Bóg'. Mam nadzieję, że się z tym zgodzicie, w każdym razie, będę z zainteresowaniem czekała na wasz komentarz i krytykę…"

List Laurence z Somalii datowany 22 kwietnia 1953 nawiązuje do poprzedniej korespondencji, w której były jakieś zgrzyty. Pisze apologetycznie: „Ogromnie ubolewam, jeśli mój list był nieco opryskliwy. Tak na prawdę to, nie chciałam. Obawiam się, że zwykłam przesadnie bronić tego, co sama zrobiłam i w rezultacie mogę się wydać grubiańska. Gusiu, szanuję Twoją radę. Doceniam z pewnością argument wzmiankowany w ostatnim liście o wielkiej wadze opinii publicznej w Twojej pracy i zupełnie się z nią zgadzam. Cieszę się, że jednak dostrzegasz mój punkt widzenia, jeśli idzie o tę szczególną książkę i jej zadanie. Tłumaczyłam panu Shirleyowi.

Niemniej sprawę ortografii, który rozumie Twoje uczucie. Rzekł, że jest zdania, żeby wiersze somalijskie wydrukować bez somalijskich oryginałów. Jasno pojmował, że nie chciałbyś niczego drukować w Somalii, co by nie było w absolutnej zgodzie z nową ortografią. W związku z tym przeglądnęłam skrypt i sprawdziłam wszystkie nazwy szczepów i miejscowości pisząc je wedle starego systemu…”

Kanadyjka powodowana młodą ambicją i niecierpliwym egotyzmem dążyła do szybkiego efektu, natomiast Guś, weteran kampanii libijskiej, niezupełnie uleczony z rany odniesionej pod Tobrukiem a jednocześnie subtelny poeta, który dopiero co wszedł na ścieżkę prawości badacza naukowego, dokładnego dbał o najwyższy respekt dla oryginału zarówno jako subtelny lingwista oraz prawdziwy poeta.

Dla niego najważniejsza była właściwa, nowa ortografia, skoro był jednym z jej twórców i propagatorów na cały kraj a jego wkład został oceniony przez władze, które nadały mu Order Gwiazdy Somalijskiej w 1988.

Przed laty Andrzejewski podarował mi egzemplarz przełożonej przez siebie na język angielski powieści somalijskiej „Ignorance is the Enemy of Love” (Ignorancja jest wrogiem miłości). W przedmowie do niej podkreśla on swoje kryteria dobrego przekładu. Obstaje przy wysokim stopniu wierności

tekstu, zaręcza też, że nie pozwala sobie na niewskazane swobody nawet w miejscach, które mogłyby przyczynić się do łatwiejszego czytania przekładu, czy przybliżenia go do wyimaginowanego standardu oczekiwanego od powieści pisanej po angielsku. Szczególną troskę poświęcił zachowania obrazowania poezji, nie próbując imitować jej systemu aliteracyjnego, a tym bardziej układu rytmicznego. Jego zdaniem różnice między tymi językami skazywałyby takie próby na dziwaczne efekty i nałożyły niemożliwe restrykcje na dobór i układ słów.

Kiedy w 1970 roku ukazał się reprint pierwszego wydania „A Tree For Poverty" z Nairobi z 1954, Margaret Laurence dodała nowy wstęp, w którym przypomniała, że przekłady powstały już w 1952 roku. „Sądzę, że gdybym wtedy rozumiała trudności przekładania literatury, nie podjęłabym się go. Ale człowiek młody i naiwny próbuje wszystkiego i może nie jest to takie złe. Te przekłady są amatorskie i od tamtego czasu powstały liczne inne przekłady literatury somalijskiej, o wiele bardziej naukowe i bardziej dokładne niż te. (Wiele tych późniejszych przekładów dokonał dr B.W.Andrzejewski ze Szkoły Nauk Orientalnych i Afrykańskich w Londynie, który jako młody lingwista zaczynający studia w Somalii, był jednym z moich współpracowników a dziś jest czołowym autorytetem w materii języka i literatury somalijskiej)."

Dla mnie te słowa brzmią jak apologia za niecierpliwe i pochopne pociągnięcia młodej Laurence, żądnej pierwszych sukcesów pisarskich, nie rozumiejącej ostrożności i respektu dla dociekań naukowych oraz szlachetności charakteru utalentowanego polskiego współpracownika. Pewną satysfakcję mogła jej przynieść antologia „The Penguin Book of Oral Poetry", (London 1978), która dając kilkanaście przekładów B.W.Andrzejewskiego, umieściła również cztery wersje M.Laurence z „A Tree for Poverty".

Zapewne polski czytelnik zauważy niepewność polskiej faktografii zarówno w wypowiedziach Margaret Laurence, jak u jej biografa, Jamesa Kinga. Wnioskuję, że Laurence nie znała dokładnie przejść Andrzejewskiego, inaczej wspomniała by jego kampanię pod Tobrukiem, a także pobyt w Palestynie. Wolne Polskie Siły Zbrojne bardziej pachną wiadomościami o Francuzach.

Pojawienie się Andrzejewskiego w polskiej prasie na Zachodzie pomylono z drukowaniem w Polsce. Autor zresztą, tylko rzadko drukujący w paryskiej „Kulturze" i londyńskich „Wiadomościach" pozostał pisarzem niedocenionym mimo zdobycia w 1970 roku nagrody „Wiadomości" i nagrody Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz wydaniu dwu zbiorów poezji „Na wszelki wypadek" (Londyn 1952) oraz „Podróż do krajów legendarnych" (Londyn 1986). Ta ostatnia pozycja ukazała się

również w Polsce w 2000 roku (Agawa) ze szkicami o autorze Czesława Miłosza i Jerzego Pietrkiewicza.

Miłosz napisał o nim:

„Uważam go za jednego z poetów znaczących, lepszych niż niejedna postać o głośnym nazwisku, mająca swoje monografie i wydania dzieł zebranych. Na szczęście dla siebie nie bardzo troszczył się o laury i ubawiłoby go chyba, gdyby usłyszał, że ktoś chce go umieścić w świątyni sław naszego stulecia. Pisał wiersze dla własnej przyjemności, w chwilach wolnych od zajęć, by tak rzec, poważniejszych…”

Bogumił Witalis Andrzejewski zmarł w Anglii w 1994 roku nie doczekawszy się spełnienia marzeń, by kłusować na wielbłądzie w ceremonialnej uprzęży Alejami Jerozolimskimi w Warszawie. Somalia zawdzięcza mu uporządkowany nowoczesny język, alfabet i zasady ortografii.

Pierwodruk: „Przegląd Polski”, dodatek do „Nowego Dziennika”, luty 2012 r. Tekst ukazał się pod tytułem „Somalijskie koneksje”.



Transformator obciążony



Bogumił Witalis Andrzejewski z żoną Sheilą

Florian Śmieja

Bogumił Witalis Andrzejewski bawi się prądem elektrycznym

Przed laty poeci awangardy z wielką euforią odwróciwszy się od sielankowego krajobrazu dawnej poezji, jako od obmierzłych

staroci, zaczęli zamiast wsi urokliwej do swoich wierszy pakować miasto i wszelkie jego atrybuty nowoczesności i postępu. Odstawiwszy konia i rumaka polubili automobil i aeroplan. Fascynacja mechaniką kazała im na piedestał postawić maszynę, jako wielkie osiągnięcie ludzkiego umysłu, wyręczycielkę od nadmiernego wysiłku, monotonnych ruchów i wielokrotnych powtórzeń, jako skuteczną wybawicielkę od mozolnych obowiązków. Ta przydatność wydała się piękna, przygoda konstruktorów udzieliła się literatom, poeci zaczęli ją brać za obiekt kontemplacji i przedmiot swoich kompozycji.

Nieraz dzieje się to z małą domieszką humoru. i tak Bogumił Witalis Andrzejewski (1922-94) zmarły w Anglii afrykanista i poeta, przypomina niedawne jeszcze sposoby ogrzewania naszych domów gazem dostarczanym przez automaty przyjmujące monety. Zanotował dla potomności, jak to w Anglii:

Gazomierzowi ze zmartwienia

Szyling stanął w gardle

Ten poeta akurat miał większe jeszcze nabożeństwo do maszyn i

przyrządów wyimaginowanych jak np. *marzeniomierz* czy *marzelnia*, których był oryginalnym wynalazcą i użytkownikiem.

Zauroczył go też prąd elektryczny. To on kazał zagorzałemu humaniście i onomaście poświęcić wiele znoju i nabyć fachową wiedzę naukową z dziedziny elektryczności oraz włączyć ją do swojego poetyckiego sztafażu.

Nie zdziwi nas więc szczegół, że w tropikalnym klimacie Kamelopardii najsłuszniej zamontowano w pancerzach *„elektryczny obwód ochładzający”*.

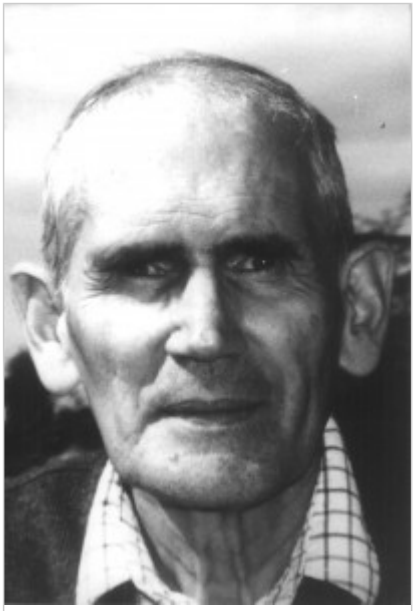

Bogumił Witalis Andrzejewski

Gdzie indziej *„ścieżka elektryczna łączy odludzie”*, a

(klechdy mówią)

o woltomierzu nagrobku

martwą głoszącym wskazówką

równowagę śmiertelną

różnoimiennych sił

Ładnie nazwany *„galwaniec elekroliz jest zlizywaczem/ miodów z szlachetnych metali”.*

Jest mowa o stacjach nadawczych, o napięciu, o przełączniku. Dziewczynom *„w elektrostazie /żarzą się w oczach figlarne druciki/ naładowane bardzo dodatnio”.*

Policjant to *„bezpiecznik w ulic obwodzie przeciwko żarom/ zbyt*

wielkich napięć zatknięty”.

Jest też sposób, by pozbyć się uciążliwych dolegliwości:



Bogumił Witalis Andrzejewski, karykatura, Krystyna Sadowska 1944 r.

…suma jarząca (latarń)

wróci myślom przewodność

jaźni utracona drożność

Poeta podpatrzył dziwy:

w prądnicy nerwów

zwoje ogromne

przekładnie, zasuwy i rygle.

Tak jak tramwaje potrzebują mocy, by powrócić do zajezdni, tak człowiek musi mieć energię, by przeżyć dzień:

mocy trzeba

na wyrób prac powszednich

żeby każdy dzień trudny

pod wieczorną remizę przytoczyć.

Wymagana jest ostrożność, bo lada chwila może nastąpić krótkie spięcie, wybuch i pożar, zastój. Dlaczego? Bo

w tunelu milczy

obciążony transformator

Choć poeta rozsiał w swoich wierszach cały słownik pojęć związanych z elektrycznością, ale w jednym utworze dał skoncentrowany asortyment, aby przestrzec młodych przed pochopną rozrzutnością, a zachęcić do oszczędzania prądu:

PRZESTROGA MŁODYM

kiedy był młody

latał jak głupi

od anody do katody

energię podbierał

z prądnic i baterii

ażeby mieć fundusze

na różne fanaberie

na pola magnesowe

chadzał jak na stronę

i skakał i pląsał

jak rubaszny jonek

reguła lewej ręki

była jemu prawem

w ten sposób pragnął zdobyć

pieniądze i sławę

żal mu dziś tego bardzo

że tak żwawo fikał

bo burczy mu w przewodach

i po zwojach strzyka

i teraz ku starości

musi siedzieć w domu

bo prądu ma za mało

a za dużo ohmów

Tym dowcipnym wierszem z tomiku *„Na wszelki wypadek”*(1952) zamykam temat elektryczności i zapraszam do samodzielnego uraczenia się Andrzejewskiego egzotyczną *”Podróżą do krajów legendarnych”* (1985, 2000).

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto, w styczniu 2005 r.

W kawiarni, gdzie niegdyś grano jazz



Cafe Neringa w Wilnie

Czas wchodzi do Wilna poprzez drzwi kawiarni.

Brodski “Café Neringa”.

Romuald Mieczkowski

Przelewa się wciąż ta sama fontanna w foyer „Neringi”. Od lat nie zmienił się wystrój wnętrz. Dwie sale. Ten sam przeszklony sufit, na ścianach pseudoludowe freski z drewnianą boazerią, trochę wygodniejsze krzesła. Na scenie fortepian. Dawni bywalcy

restauracji, którzy dziś przypadkowo tu zawędrują w poszukiwaniu swej młodości, mają wrażenie, że za chwile wyjdzie Ganelin, żeby w towarzystwie swego tria pograć standardy jazzowe. Jego popisy oklaskiwać będzie Venclova, przebywający gościnnie w Wilnie akurat Brodski, a wraz z nimi cała ta pstra cyganeria, która stale dawała drobne łapówki odźwiernym, żeby tu trafić…

Wspominam atmosferę sprzed trzydziestu lat, kiedy zacząłem preferować to miejsce nad innymi, jak ubiegaliśmy się o względy „cerbera" albo inaczej „bramkarza", dając mu składkowego rubla – w nadziei, że zaliczy nas w poczet stałych bywalców – abyśmy jako wybrani, szpanując, mogli przejść przez szpaler oczekujących w kolejce w duszne i słotne wieczory na wejście, jako część owej cyganerii, która zostanie uczestnikami i świadkami kawiarnianego spektaklu, a potem będzie szczycić się, kogo akurat poznała.

A poznałem tu niemało osób – dziennikarzy, dzisiejszych asów i całkiem zapomnianych, pisarzy i poetów, malarzy, muzyków, niedocenionych artystów i prawdziwe sławy. Jest to jednak temat na inną opowieść. Często taka znajomość kosztowała, bo wypadało fundnąć ze stypendium, a potem ze skromnej pensji, ale jakoś starczyło na kolejne przyjście…

A więc grano tu jazz. Przy stolikach – faceci, dziwacznie jak na

tamte ponure czasy ubrani, długowłosi, w swych pierwszych dżinsach marki „Odra”, szczęśliwcy w firmowych, najczęściej też *via* Polska, w skórzanych kurtkach i w żółtych lub czerwonych skarpetkach, ale i o wyglądzie poważnych profesorów, w garniturach i przy krawatach, choć byli też – rzecz nie do pomyślenia – światowcy w apaszkach! Intelektualistki (czy takie w ogóle chodziły do kawiarni?) i śmiejące się studentki artystycznych uczelni w minispódniczkach, te „jazzowe” – też w dżinsach. Nie tańczono tu, chyba przy szczególnych okazjach, gdy w głowie szumiało wino…

Kuchnia była tu tradycyjnie dobra. Podobno od samych początków, kiedy w końcu lat pięćdziesiątych, w dobie „odwilży”, zbudowano pierwszy w mieście po wojnie współczesny gmach hotelu i kawiarni. Firmowym daniem „Neringi” były kotlety „po kijowsku”, coś w rodzaju *de volaille* z drobiu w tłuszczu. Nikt nie wie, dlaczego nazwano je „po kijowsku”, ale taki jadłospis był zatwierdzony na cały Sojuz, z tym, że gdzie indziej z braku surowca przeważały pierożki z kapustą. Popularnością cieszyła się sałatka „stołeczna”. Ta nazwa była nieporozumieniem. Kiedy z jakiejś okazji zaprowadziłem tu rodziców, powiedzieli – jakaż ona „stołeczna”, to zwykła, domowa, tylko gorsza i bardziej „upiększona” sałatka, z kawałeczkami kiełbasy, gotowanymi ziemniakami „w mundurach”, a wszystko pokrajane w kwadraciki, plus inne niewymyślne socjalistyczne dodatki. Ale sałatka ta miała powodzenie: była tania.

Piło się w „Nerindze” raczej wytrawne trunki, wszak była to „inteligencka” knajpa – głównie wina i koniaki. Prócz mołdawskich i z republik sowieckiego Zakaukazia węgierską – „byczą” i „niedźwiedzią krew”, ale i rizlingi, były delikatne słodkie wina rumuńskie, popularnością cieszyła się bułgarska „Gamza”. Był czas, że nie podawano jej w butelkach – okrągłych bańkach, lecz „dla podniesienia kultury picia” w kieliszkach, jeśli się nie mylę – po 38 kopiejek za setkę. Dla wygody towarzystwo zamawiało od razu z dwadzieścia-trzydzieści kolejek… Kelner był wielkim panem, ciągle go trzeba było nagabywać, łapać, kiedy prześlizgiwał się między stolikami, a on ciągle udawał, że nie widzi gościa. Prawda, w „Nerindze” pracowały kelnerki, większość których znaliśmy po imieniu. Wśród bułgarskich win było też „Caberne” z goryczą korka… Kto wolał coś mocniejszego, zamawiał rum kubański. Były „etapy” egipskiej anyżówki, arabskich rumów, portugalskiego porta. Szampan raczej sowiecki, wódka – na dalszym planie i raczej wytrawna, choć kto chciał „pod śledzika” napić się czystej, zawsze ją dostał.

Fortepian przywołuje wspomnienia, a tymczasem z taśmy dolatują dźwięki jakiejś orkiestry – może Paula Mauriata, może Jamesa Lasta. Sentymentalne i wiecznie zielone przeboje, wyłapuję z tego „Strangers in The Night”, „Spanish Eyes”, „Love Me Tender”. Są „Parasolki z Cherbourga”, „Love Story”. Muzyczka płynie dyskretnie, jak przelewająca się w głębi fontanna, można sobie pogadać. Jadłospis dziś znacznie grubszy

niż kiedyś, ale z dawnych potraw niewiele, chyba tylko „karbonat” czyli kotlet schabowy. Niektóre nazwy stały się politycznie niepoprawne, próżno więc prosić o dawny kotlet po kijowsku, wódkę moskiewską czy szaszłyk gruziński. Dla gościa z Ameryki z potraw lokalnych zamawiam chłodnik i cepeliny.

Jest ich nie za wiele. Przeważają raczej „wszędobylskie” dania jak befsztyk i *boeuf Stroganov*, dużo zagranicznych nazw, z których trudno się zorientować, co się pod nimi kryje. Na deser – truskawki w cukrze, lodów zabrakło. Aż 60 porcji pochłonęła tuż przed nami grupa młodych ludzi z Danii.

Potrawy smakowały gościowi, dawnemu wilniukowi, który w międzyczasie wspominał przedwojenną gastronomię Wilna. „Tylko jakoś tu smutno” – zauważył. Rzeczywiście, światła mało, wszyscy tacy poważni, nawet młodzi ludzie, za sąsiednim stołem chłopak z dziewczyną, obydwoje jak „ziemię sprzedawszy”. Gość przywołał wspomnienia, jak to bywało wesoło w „Zaciszu”, „Strallu” – Białym, Zielonym i Czerwonym, co się działo w „Literackiej”. Ja przywołałem swoje wspomnienia odległe o pokolenie. Przytaknąłem – rzeczywiście, nie jest wesoło.

A „Neringa” znalazła kolejne swe wcielenie – jako część składowa „Scandic Hotelu”.



Cafe Neringa w Wilnie

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym”, dodatku kulturalnym „Gazety” z Toronto w 2004 r.

Uczeń

Stanisławskiego



University College Cork – National University of Ireland, Cork, fot. Denis LeGourrierec

Florian Smieja

Irlandię odkryłem w kilka lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. I, jak to często w życiu się zdarza, był to czysty przypadek.

Wraz z innymi polskimi kombatantami, którzy znaleźli się na Wyspach Brytyjskich, starałem się uzupełnić swoje wykształcenie. Najpierw udało mi się zapisać na kurs gimnazjalny prowadzący do małej matury.

Nie przyszło mi wcale tak łatwo dostać się na ten kurs, gdyż służąc w Sekcji Badań Przydatności przy ośrodku szkolącym załogi pancernych pojazdów, stałem się, mimo kończących się działań wojennych w Europie, niezbędny. Miałem ładne pismo i odręcznie prowadziłem ewidencję badanych w książce, która przeznaczona była do muzeum. Przełożeni ani myśleli, by pozbyć się pracownika, do którego przywykli. A to, że starszy strzelec miał ambicję kończyć gimnazjum, a równocześnie bronił się przed pójściem na podchorążówkę, to dowódcę nie przejmowało w najmniejszym stopniu. Nic więc dziwnego, że kiedy nadszedł telegram informujący o przyjęciu na kurs, kierownik po prostu pisma nie doręczył. Na szczęście, powiedział mi o tym kolega pracujący na poczcie. Interweniowałem natychmiast u oficera oświatowego, przekonałem go i do Szkocji pojechałem.

W małej miejscowości w dawnej fabryce zakwaterowano ochotników, którzy ukończyli co najmniej dwie klasy gimnazjum przed wojną i w przyspieszonym tempie przygotowywali się do zdawania małej matury.

Tymczasem skończyła się wojna i ze świadectwem ukończenia gimnazjum można się było starać o miejsce w liceum, kiedy perypatetyczne gimnazjum i liceum im. Juliusza Słowackiego założone w Glasgowie a potem przeniesione do Crieff po kilkuletnim pobycie tam rozpoczynało rok szkolny w Bridge of Allan koło Stirling. Kilkuset byłych polskich żołnierzy, lotników i

marynarzy z dodatkiem garstki cywilów zaczęło z ufnością i wielkim zapałem naukę w byłym obozie wojskowym. Korzystając z pomocy znakomitych i entuzjastycznych nauczycieli, próbowaliśmy nadgonić stracony czas. W miarę jak Brytyjczycy likwidowali obozy, by wrócić właścicielom zarekwirowane tereny, trzeba się było przenosić dalej, zazwyczaj na północ. Wylądowaliśmy w końcu w odległym Garelochhead na wzgórzach okalających zatokę, w której stały wielkie okręty Royal Navy. Opuszczone przez marynarzy tzw. beczki śmiechu stały się naszym kolejnym domem.

Tam, w rojnej i dynamicznej społeczności szkolnej doczekałem się egzaminu dojrzałości. Obóz oferował rzadkie na one czasy atrakcje w postaci odczytów, wieczorków literackich, gazetkę obozową a nawet ambitne wystawienie komedii „Dożywocie" Aleksandra Fredry.

Potem ze świadectwem w ręku ruszyliśmy w świat. No, nie zupełnie. Trzeba było rozglądnąć się za jakimś praktycznym zawodem. Kolega pochodzący z mojej wsi był piekarzem i cukiernikiem więc wnet znalazł pracę i wyjechał do Londynu. W liceum próbowałem naprawiać zegarki, ale to była zabawa raczej niż poważne zajęcie. Zapisałem się więc na kurs dla rybaków dalekomorskich, bo nęciła obiecywana dobra płaca, która rokowała nadzieje na oszczędzenie pieniędzy na studia wyższe. Kursu nie ukończyłem, bo po kilku dniach w obozie w Aberdeen,

zostałem powołany do Irlandii.

Dostać się na uniwersytet brytyjski nie było łatwo, gdyż uniwersytetów było niewiele a po zakończeniu działań wojennych garnęły się do nich rzesze Brytyjczyków wracających do cywila z wszystkich teatrów wojny. Ponadto, studia humanistyczne, które były dla mnie najbardziej atrakcyjne, nie były dla cudzoziemców pragnących się osiedlić w Zjednoczonym Królestwie. Praktyczni Brytyjczycy założyli Polish University College przy Uniwersytecie Londyńskim, aby pewną ilość Polaków wykształcić na inżynierów i ewentualnie ekonomistów. Ten kierunek handlowy był jakby najbliższy humanistyce i stanąłem do egzaminu konkursowego. Moja siedemnasta lokata nie wystarczyła jednak, by się zakwalifikować. Okazało się, że byli równiejsi ode mnie, ja byłem młody, mogłem poczekać.

Chodziłem po Londynie szukając innych możliwości studiowania. Funkcjonowało wtedy jakieś polskie biuro, które dysponowało kwestionariuszami ankiet przeprowadzanych wcześniej w różnych szkołach i obozach. Pamiętam, jak stroiliśmy sobie żarty z tego rodzaju badań i na pytania z towarzyszącymi sugerowanymi odpowiedziami wybieraliśmy najbardziej nieprawdopodobną i śmieszną. Nie mogłem liczyć na poważne szanse w takich instytucjach.

Istniała także polska katolicka organizacja Veritas. Jednym z jej

celów było pomaganie ludziom, którzy chcieli studiować humanistykę. W porozumieniu z zainteresowanymi uniwersytetami irlandzkimi kwalifikowali oni kandydatów, którzy uzyskując miejsce w uczelni otrzymywali bez trudu brytyjskie stypendium dla byłych wojskowych. Moje świeże świadectwo z bardzo dobrą oceną z języka łacińskiego sprawiło, że dostałem się na listę studentów obiecawszy, że oprócz łaciny wezmę także grekę. Słowa dotrzymałem.

Trzy lata spędzone w południowej Irlandii w mieście Cork były okresem spokojnych, przyjemnych studiów. Mała uczelnia, prowincjonalne miasto, sąsiedzkie stosunki z przychylną ludnością ` pozwoliły grupie byłych żołnierzy odetchnąć i zyskać dyplomy, które pomogły czy nawet umożliwiły później otrzymanie godziwego zatrudnienia w obranej specjalności.

W odległej i izolowanej przez wojnę Irlandii stanowiliśmy egzotyczną i atrakcyjną grupę. Starsi od zwyczajnych studentów, obieżyświaty z doświadczeniem wojennym wśród zielonej lokalnej młodzieży, cieszyliśmy się zainteresowaniem środowiska i mieszkańców miasta, które okazało nam wiele życzliwości i pomocy. Byliśmy zapraszani do domów i instytucji, kwitła przyjaźń polsko-irlandzka. W naszym polskim domu gościliśmy chętnie szczerych przyjaci ó,ł wśród których był kapitalny ksiądz Murphy, brat łata, dobry człowiek i nadzwyczajny gawędziarz.

Pamiętam jeden z jego kawałów ilustrujących irlandzką specyfikę. W ciemnej uliczce rabuś zatrzymał mężczyznę. Kiedy ofiara odpięła płaszcz, by sięgnąć po portfel, złodziej zobaczył księżowską koloratkę i zaczął przepraszać, że nie wiedział, kogo zatrzymuje. Ksiądz sięgnął z kolei po cygaro, by je opryszkowi zaofiarować. Ten jednak odmówił przyjęcia tłumacząc, że jest post a on w czasie postu nie pali. Tyle kawał. Ten miły ksiądz słynął z dobrego serca i ludzie chodzili do niego po wszystko. Raz zjawił się mężczyzna prosząc go o buty. Ksiądz tłumaczył się, że jedyne buty, które posiadał były te, które miał na nogach. Przybysz spojrzał na nie i powiedział, że te mogą być.

Niektórzy Irlandczycy zaczęli nawet przyglądać się bliżej językowi polskiemu, kilka osób zaczęło brać lekcje prywatne, aby pokazać, że Polacy nie są im obojętni.

Wśród nich znalazł się młody chłopak o imieniu Terry. Ciekawili go i imponowali mu obcy przybysze i ich osobliwy, szeleszczący język. Potrafił się godzinami przysłuchiwać jego dźwiękowi i nieraz zafascynowany stał albo siedział w pobliżu Polaków rozmawiających z sobą. Często przepędzaliśmy go darząc z żartów przeróżnymi epitetami, których on się w lot nauczył i powtarzał je ku konsternacji polskich studentek, które się także w Cork pojawiły.

Terry zaopatrzył się w podręcznik do nauki polskiego dla Szkotek

napisany przez J.A.Teslara i wyuczył się z niego wielce pomocnego w konwersacji zdania ‘ Ordynans daje pić karemu koniowi pana pułkownika’. Po czasie nabył też słownik Jana Stanisławskiego, drukowany w Wielkiej Brytanii przez Minerva Publishing Co.Ltd. w Londynie w 1940 roku, który stał się dla niego pasjonującą lekturą.

Wtedy mógł zaskakiwać nas raz po raz nowo nauczonymi słowami i zwrotami.

Gościł często w naszej bursie położonej nad kanałem niedaleko uniwersytetu. Lubił polskie dania i uwielbiał kluski. Wtedy prosił kredencerza o podlewę. Po burzliwej nocy pytał nas, czyśmy słyszeli gromobicie . Raz kiedy szukaliśmy korkociągu, by otworzyć butelkę wina, Terry z wiecznie uśmiechniętą miną sięgnął do kieszeni i wręczając go nam oświadczył, jak na dobrego ucznia Stanisławskiego przystało: „Ot grajcarek. Kupiłem go niedawno u lokalnego żelaźnika”. A kiedy indziej tłumaczył spóźnienie tym, że miał pogwarek ze swoja lubownicą, która mu ciągle stroiła firleje, bo zamiast pójść wreszcie z kotką do konowała, wolała odwiedzić swoją kabalarkę.

Z entuzjazmem opowiadał nam o postępach w języku polskim i wiedzy o naszej kulturze i przeszłości. Czytał więc o gwiaździarzu Koperniku, znał książkę angielskiego autora o komponiście Chopinie, słyszał o statyście Mikołajczyku a nawet o

gazeciarzu Mieroszewskim. Kiedy któryś z naszych studentów chciał zapalić papierosa, Terry z miejsca oferował swoje siarniczki. Jeżeli przychodził do naszego domu w czasie dnia, pytał czyśmy już zjedli podkurek, czy nie zjawiając się o takiej porze nie robi jakiej pochyby. Chwalił się, że akurat pocztarz przyniósł mu list z kontrefektem przyjaciela, który był w Londynie templariuszem, ale miał wkrótce już swoje studia skończyć i nareszcie zarabiać przyzwoity prowent, bo żmindackie stypendium mu się sprzykrzyło.

Terry miał niewątpliwy talent do języków i został w końcu profesorem romanistyki. Jest nadal przystępny i jego kopystka chętnie was z nim umówi na komeraże.

Terminowanie u Stanisławskiego nie poszło na marne.



Florian Śmieja przed Uniwersytetem w Cork (1947-1950)

——————————

prof. Florian Ludwik Śmieja, specjalność: iberystyka, wyjechał z Polski w1943. Studia: University College Cork, National University of Ireland (Bachelor of Arts 1950); King's College, University of London (Master of Arts 1955, Doctor of Philosophy 1962). University of London: School of Slavonic and East European Studies 1950-54 (asystent), School of Economics 1958-63 (asystent 1958-60, doc. 1960-63); University of Nottingham 1963-69 (doc.); University of Western Ontario w London, Kanada 1969- (gościnny prof. nadzwyczajny 1969-70, wielokrotny kier. Zakładu Iberystyki 1970-91, prof. 1970-91, Professor Emeritus 1991); prof. gościnny na Uniwersytecie Jagiellońskim 1974, Wrocławskim, Opolskim, Ostrawskim i Wileńskim 1991- . Publikacje: edycje 3 sztuk hiszpańskiego Złotego Wieku; kilkadziesiąt artykułów naukowych m.in. w: „Slavonic Review", „Queens Slavic Papers", „Modern Language Review", „Philological Quarterly", „Bulletin of Hispanic Studies", „Revista de Literatura", „Hispanófila", „Hispanic Review", „Estudios Segovianos", „Archivo Hispalense", „Estudios", „Revista Canadiense de Estudios Hispánicos", „Kwartalnik Neofilologiczny", „Pamiętnik Literacki". Tomiki poezji: *Czuwanie u drzwi* 1953, *Powikłane ścieżki* 1964, *Kopa wierszy* 1981,

Wiersze 1982, *Jeszcze wiersze* 1984, *Przezorność czasu* 1992, Ziemie utracone 1994, *Mały wybór wierszy* 1994, *Wśród swoich* 1998, *Wiersze wybrane* 1998, *Niepamiętanie* 1999; wiersze w antologiach i opracowaniach. Przekłady poezji, prozy i sztuk hiszpańskich.

Jan Stanisławski (1893 – 1973), anglista, leksykograf; 1928-39 i 1945-58, lektor języka angielskiego na Uniwersytecie Jagielońskim. W 1939 roku wywieziony do Sachsenhausen-Oranienburga. Po powrocie do Krakowa brał udział w tajnym nauczaniu uniwersyteckim. Wydał podręczniki, m.in. Gramatyka języka angielskiego (t. 1-2 1950-51), Wielki Słownik Angielsko-Polski i Polsko-Angielski, wydany w Londynie w 1940 roku (przyp. red. na podstawie Encyklopedii Powszechnej PWN).

Artykuł opublikowany w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" w Toronto, styczeń 2003 r.

O dwóch książkach Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm



Aleksanda Ziółkowska-Boehm w swoim domu w Wilmington, w stanie Delaware.

> Korespondencja Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm
> z Szymonem Kobylińskim na temat autobiograficznej książki
> Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt.”Ulica Żółwiego
> Strumienia” zawarta w książce „Nie minęło nic prócz lat”.

Wieś Gniazdowo, 17 maja 1995 r.

Oleńko Boehmiła!

No i otóż to właśnie! Nareszcie książka [ULICA ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA] prawdziwie oleńkocentryczna, gdzie mamy co prawda, jak Pan Bóg przykazał, realiów światowych mrowie, ale oglądamy je nie w spisie, dokonanym przez jakąś bliżej nie rozpoznawalną panią, ale w opowieściach konkretnej Oleńki, tej ze wzmiankowanego miasta Łodzi.

Inna sprawa, że jest to w istocie książka bardziej t o m k o c e n t r y c z n a, bo zaprawdę Kwiczoł jest tu, jakże słusznie, najpozytywniejszym bohaterem, odnośnikiem wszelkich wartości, miernikiem zdarzeń, trafnie dobranym ośrodkiem uczuciowym i emocjonalnym. Tak – by the way – czemu nie ma informacji, że był Kwiczołem, nie rozumiem, skoro to rubaszna, jakby dobrotliwym basem mówiona pieszczota słowna, świetnie ukazywała sytuacje w panamelchiorowym domu. I chyba dobranie epitetu też coś mówiło, skoro wszelkie drozdy, w tym

paszkoty, kwiczoły etc. – są ptaszkami ogromnie rozrywkowymi, wesolutkimi, pełnymi uroku, żwawości i wdzięku. Potraktowane zaś myśliwsko, co mi jest osobiście jak najbardziej obce, są też wyjątkowo smaczne… Co stwierdzam ze smutkiem nad takim losem ptaszął, ale obiektywności gwoli.

Tomek się jawi przede wszystkim d o b r y, a to komplement najszczytowszy z możliwych, zwłaszcza dziś, a ponadto od małego mądry życiowo i sercowo. Jego zgorszenie, iż babcia mogła posądzać o coś tak błahego, jak zachwycenie dziewczęcym fartuszkiem, gdy w istocie zafascynowały malca OCZY koleżanki, ta migaweczka nad wyraz wymowna. I fakt, że to powiedział, korygując przodkinię…

Zarazem jego losy, rozpostarte po mnóstwie krain i szkół, jednak zaliczanych „w cuglach", są świetnym leitmotivem całej narracji. Coś rośnie i dojrzewa z tym chłopakiem, coś się spełnia i czyni coraz bogatszym duchowo.

W ogóle okazuje się, że jesteś wyraźnie i magnesem, i katalizatorem ludzkiej dobroci. Postać Mister Normana to kolejny przykład tych zdolności przyciągania osób spolegliwych życiowo, których tak wiele widnieje w spisie Twoich przyjaciół. To „lubię przyjaciół", arcy mądre i uniwersalne motto międzyludzkich, pozytywnych związków, doskonale rzecz oddaje. A przy okazji pochlebia nam, których liczysz do grona ludzi,

obdarzony przez Ciebie życzliwością.

Okazało się w tej mierze, iż i sam wielki Tatarkiewicz, największy przecież ekspert od szczęścia, miał to samo o Tobie zdanie, jakie ja swego czasu wyłożyłem Kąkolewskiemu, gdy dumał głośno o Twojej pozycji w dziele Wańkowicza. Wręcz namawiałem p. Krzysztofa, by to opisywał, gdyż relacja o niuansach więzi między najrozmaitszymi bliźnimi jest jego stałym tematem. I nic jeszcze o poglądzie Tatarkiewicza nie wiedząc (bom to poznał dopiero teraz z ULICY ŻÓŁWIEGO STRUMIENIA) instygowałem człeka do ukazania portretu mistrza Melchiora, jako Duszy Niespodzianej, zaskoczonej czemś, czego nie praktykował, czego emocjonalnie nie znał – przyłapanego na kapitulacji przed Dobrocią… To mu się nie zdarzało przez całe długie, twardą skorupą opancerzone życie bezlitosnego obserwatora. Umiał wzruszać jak mało który pisarz, ale sam nie wzruszał się nigdy, nie ulegał tej, jakby to określić – tej s ł a b o ś c i. Taki był zresztą wymóg jego precyzyjnie obmyślanego warsztatu, zimnego skalpela i chłodnego, lodowatego szkiełka badacza. Ignorował – niczym tę starszą panią, co chciała mu przypomnieć, że była dziewczęciem z Kalużyc – wszystko zbędne w fiszkach, notatkach. w tworzywie wszelakich „karafek LaFontainéa” I oto nagle, tuż przed odejściem, tuż przed definitywnym a d i e u – trafia go, trafia mu się niespodzianka … uczuć? Nie, to nie celne określenie. Raczej: – odczuć. Nowego typu wrażliwości, nowej relacji w bezinteresownej sferze,

dotychczas mu obcej, w sferze Dobroci właśnie. On nie wiedział, co z tym zrobić, jak to przeżywać, „czym to się je", gdy się samemu ulega napływowi serdeczności, jakże dalekiej wprzódzi, jak bardzo przezeń nie używanej! Kąkolewski słuchał tego wszystkiego skulony i zaskoczony, a potem wybąkał coś w rodzaju: „Nie podejmuję się… Nie wezmę tego…" – ale nie przeczył mi wcale. Przeciwnie, zdał się zaskoczony oczywistością tego właśnie, co Tatarkiewicz – jak się okazuje – już dawno ujrzał okiem wszechwiedzy.

Twoja książka i ukazuje, i podkreśla tę bezinteresowność działań w dobroci, Tomkiem ukoronowanej. I zjawienie się teraz obok Ciebie człowieka, który na tle rozmaitych znajomków literackich, środowiskowych, naukowych etc., zda się jakby przyciszony – jednakże jest żywym wcieleniem spolegliwości i czułości, to zjawienie się (bardzo czytelne w narracji) jest walnym i ważkim morałem z lektury. Całkowite pominięcie dyrektora samochodowego także należy do kompozycji, do chwytów warsztatowych – lecz chwytów dyktowanych nie tamtą zmarzliną pióra, ale samym życiem – i biograficzna luka w miejscu (regularnego przecież i wyraźnego) męża „po drodze", jest luką literacko znaczącą. Tak odrzuca się któryś kolor, malując w skupieniu obraz tym Twej intuicji, a ile zamiaru, nie wiem do końca; – mówię o efekcie czytelniczym. Inna sprawa, że czytelnik nie znający ściśle realiów Twego curriculum vitae, bodaj w takim stopniu ścisłości, jak my, czytelnik taki nie będzie wiedział, iż

coś, czy raczej kogoś tu pominięto. Nie szkodzi, wystarczy, że otrzymuje zamkniętą, konsekwentną całość, niejako oprawę tego klejnociku, jakim jest Tomek… A z czego ta oprawa zrobiona? Jakie ingrediencje stopu są, a z jakich zrezygnowano, to mniej ważne. Znając dokumentację Wańkowicza od podszewki wiesz, ile elementów, pozornie znaczących, odrzucał, skreślał i ignorował. Znów – jak tamto spotkanie znajomej z lat chłopięctwa. Zbędna była do bieżącej roboty i już.

Tak przepadł zatem i dyrektor z FSO.

No, nachwaliłem się Ciebie potężnie, teraz czas na głos starego zrzędy, bezzerwissera i wtykacza trzech groszy. Czerwonym zasię ołóweczkiem przyszpiliłem dziewięć punktów, które mi nie pasują do całości książki. Wpierw jednak zaznaczę, jak to czynię w podobnych okazjach, że tekstów mi obojętnych się nie czepiam, „wiszą mi zwiędłym kalafiorem˝ i nic autorom nie mówię. Tylko wobec obiektów mej życzliwości pozwalam sobie powybrzydzać i nosem pokręcić. Tak i teraz.

str. 60. – Przed domem rosła rozłożysta, ogromna b r z o z a. Skoro zaś brzoza, to skąd na niej bazie, i to w dodatku na Zielone świątki?!? Bazie ma wierzba, ale na Zielone świątki daaawno już są nie aktualne! Co to więc było za drzewo?

str. 102 – To wcale nie Skaldowie śpiewali „Za rok matura”;

rzecz nie jest absolutnie w ich stylu. To chyba któreś Gitary, Czerwone lub Niebieskie, ale przenigdy Skaldowie.

str. 177. – Literówka, istotna nazwiskowo – zamiast Kozieł powinno być na skolko ja znaju miedicinu, Koziełł-Poklewski, dwa ł.

str. 246. – Zjawiają się młodzi Krzysio z Anią ,,…przedstawiłam im profesora (Tatarkiewicza)': Shocking! Wyłącznie i c h można było przedstawić p r o f e s o r o w i, nigdy odwrotnie.

Nieco niżej zabawne określenie, tyczące Słonimskiego. Czytam mianowicie, iż „wiele osób ceniło jego felietoný:.. Ba! Człowiek, który wpłynął na obraz epoki intelektualnej, m.in. właśnie tymi arcyważkimi „Kronikami" w „Wiadomościach Literackich" – skwitowany tu uwagą. że „wiele osób ceniłó: To tak, jakby o Wańkowiczu powiedzieć, że: Byli tacy, którzy go czytywali z aprobatą. Albo o Tuwimie, iż niektórzy lubili jego wiersze… To wszystko filary kultury!

str. 258. – O ile mnie pamięć nie myli, kawiarnio-cukiernia w telewizji, to był „Kaprys prezesa" (wydał na to nieproporcjonalny majątek państwowy) a nie „Piekiełkó: „Piekiełkiem" zwano różne inne lokaliki, z reguły w suterenach, i to poza gmachem przy Woronicza.

str. 398. Szofer nowojorski powiada: „Ja wiozę ludzi tylko po Manhattanié: Nędzny język angielski nie posiada odmian czasowników częstotliwych: po naszemu rzekłby w tej sytuacji: „Ja wożę ..:: Przecież „wiozę”, to tylko jeden raz.

str. 440. Podobne poślizgnięcie. Ichnie married znaczy zarówno „ożeniony”, jak „żonaty” „Mam zawsze zapewnioną randkę z piękną kobietą...”̋ – i będzie to dobrym, dobrze podanym dowcipem.

Więcej (Twoich) grzechów nie pamiętam. Oby każdy literat miewał tylko dziewięć drobnych potknięć na 472 strony druku!

Oprócz nich winienem zaznaczyć, że jestem Ci nader wdzięczny, iż mnie – i to z życzliwością – wymieniasz & cytujesz. Rzadko mi się zdarza podobna satysfakcja, bo owszem, przytaczają nieraz, com opublikował lub rzekł, ale anonimowo lub zgoła jako własną wypowiedź przytaczającego... Pewien uczony historyk wręcz podał moją teorię a propos Matejki, jedyną w danym tonie i treści – ale ani się zająknął, że to nie jego. Miglanc KTT przypomniał po wielu latach pewną dyskusję prasową, gdzie starliśmy się ostro – i obwieścił, że głosił wtedy... – moje zdanie, acz je zwalczał gwałtownie. Dobrze, że nie napisał, iż ja głosiłem jego poglądy! W ogóle zresztą mnie nie wspomniał.

(...)

A tymczasem pozdrowienia serdeczne dla Ciebie i Twych Miłych Panów od obojga i niżej podpisanego:

Szymon

***



Szymon Kobyliński

Wilmington, Delaware, 26 maja 1995

Drogi i Kochany Szymonie!

(…)

Chcę Ci powiedzieć, ze niezrealizowanie wizyty u Was bardzo nam popsuło przyjemność wspólnego pobytu w Polsce – bo mieliśmy plany takie wiosenno – turystyczno – przyjemnościowe na ten wspólny tydzień w Warszawie (jak wiesz, zanim Norman przyleciał, ja pracowicie jeździłam po Polsce ze spotkaniami

autorskimi w związku z książką).

No właśnie – książka. Twój list czytałam chciwie, zatrzymując samochód na zboczu (pocztę odebrałam po drodze gdzieś wyjeżdżając). Jesteś wspaniały i kochany przyjaciel, żeś napisał aż tyle na temat mojej książki….. Ja tak bardzo chciałabym o niej rozmawiać, słuchać itd. Tymczasem większość osób w czasie mojego pobytu jeszcze jej nie znała. A czy napiszą w liście o niej? … Zobaczymy, nie wszyscy mają tak dobre „maniery", a na pewno nie będzie im się chciało omawiać jej. Napiszą o swoich własnych różnych sprawach i swoich zajęciach.

Dziękuję za wyłapanie błędów i wykroczeń, kilka już sama spostrzegłam, ale większość jest nowych i tylko Twoje uważne oko i ucho je wyłapało. Masz wielką rację, np. z przedstawieniem profesorowi (a nie jego). Chodziło o Krzysztofa i Joannę Kąkolewskich (nie o brata Krzysia i Anię), ale i to ich się przedstawia wielkiemu profesorowi, a nie odwrotnie. Za to złapanie błędu jestem Ci szczególnie wdzięczna. W sprawie drzewa zatelefonowałam do Mamy: była to brzoza, a bazie były na innym. Ha, tak to się ma ze wspomnieniami! A w ogóle nie zrobiłam korekty autorskiej i jest to cena, którą płacę za odległość. Moja redaktorka grzecznie dopilnowała, by maszynopis był przepisany; nie zwracając uwagi na wiele ważnych, mniej lub bardziej i subtelniejszych wykroczeń. Osobiście naliczyłam już blisko 30 błędów, wszystkie mam

wydawcy posłać z końcem lata i miejmy nadzieję, że poprawi je w tzw. Dodruku (teraz ponoć się książki stale dodrukowuje, a nie robi kolejnego wydania). Martwię się o książkę, aby była czytana, i jak tylko masz ochotę i okazję – polecaj ją innym. Teraz to wielka sprawa książkę rozprowadzić, a reklama u nas nie jest prostą sprawą. Autorzy muszą pomóc wydawcom jak mogą.

Twoja uwaga o braku dyrektora, jest uwagą i wnioskiem na ten temat słusznym, bo moim założeniem było zrezygnowanie z tej postaci, jak z innych. We wstępie piszę, że jest to książka o wszystkim dobrym, za czym tęsknię. I że może należę do ludzi, którzy zapamiętują tylko dobre i szczęśliwe momenty swojego życia. Książkę zadedykowałam dzieciom w naszej najbliższej rodzinie, a więc założyłam, że będzie to książka rodzinna. („Mama i podróżniczka" – taki tytuł chciałam dać) i pozytywna. Wszystkie prywatności zostawiam na inną okazję, formę, inny czas, jeżeli … itd.

Wyobraź sobie, że w książce (s.28) (i w jakimś wywiadzie, bodaj w „Expressie") napisałam, że może kiedyś zamienię się w babsztyla i napiszę pełną żółci książkę zdradzającą sekrety swoje i innych, ale póki co nie umiem i nie czuję potrzeby… Otóż Krzysio K. Wypytywał mnie o bliższe znaczenie „tej pogróżki" (a ja pisałam z nadzieją, że to brzmi żartobliwie), nawet uściślając, że ja „nie znam jego sekretów, aby o nich kiedyś pisać". Coś w tym stylu (wspominał nawet o adwokacie). Joanna przyszła na

promocję (Krzysztof był poza Warszawą) i publicznie uściślała jakieś moje zdania w kontekście z nimi. Mnie się wydawało, i dalej wydaje, że piszę o nich z ciepłem i serdecznie, ale oni tak tego nie odebrali…

Dlatego dziękuje Ci za dobre słowa (bo Ty jesteś Wielki człowiek i twórca), szczególnie za te żeś „wspomniany" (nikomu innemu by nie przyszło na myśl, by podziękować). Przecież ja jestem ogromnie dumna z naszej znajomości, którą Ty cudownie ośmielasz mnie nazywać przyjaźnią. Jesteś jedyną jak dotąd osobą, która to zrobiła, reszta przyjaciół z „mojego polskiego ogrodu" wczytuje się i zastanawia… Nawet ktoś zarzucił mi, że jest go mniej niż innych… itd.

Że jestem taka dobra osoba… Nie wiem, jak dalece to dobry komplement (bo kobiety zawsze i wciąż oczekują innych jakby komplementów). Kiedy czytałam „KRÓL LEAR NIE ŻYJE" Marii Bojarskiej, zazdrościłam autorce, że umie tak bez ogródek pisać. Wychowano mnie z pewnymi zasadami, które dość silnie tkwią we mnie, i mam rozwiniętą wyobraźnię na krzywdę ludzką. I wiem, jak papier może skrzywdzić ludzi. Lubię plotki i różne wieści, ale chyba nie wyszłabym z tym na zewnątrz. Mam wiele przykładów moich i obok mnie żałosnych i smutnych, bolesnych i trudnych spraw i historyjek, ale czy mam o tym w biograficznej książce w tzw. … kwiecie wieku pisać?

Wiesz, trochę marzyło mi się, że Ty poprowadzisz to spotkanie w Klubie Księgarza (następne będę urządzać tylko zimą, abyś był w Warszawie) i że ja zacznę od stwierdzenia, żeś Ty mnie sprowokował do tego typu otwartej i egocentrycznej książki. Bo to prawda.

(...)

Serdeczności od nas wszystkich,

Oleńka



A. Ziółkowska-Boehm: Ulica Żółwiego Strumienia, Dom Książki w Warszawie, W-wa 1995 r., wyd. I, Twój Styl, Maj 2004 r., wyd. II.

A. Ziółkowska-Boehm: Nie minęło nic prócz lat, wyd. Nowy Świat, Warszawa 2003 r.

Szczęście w Wilnie



Zygmunt Vogel, Ulica w Wilnie.
XIX w. Muzeum Narodowe, Kraków.

> **Wileńska karta w twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.**

Romuald Mieczkowski

Słowa te nawiązują do poezji Gałczyńskiego, a mianowicie do jego wileńskiej karty w twórczości. Kiedy mówimy o Wilnie literackim, najczęściej nie w sposób uniknąć pewnego stereotypu, jaki się zamyka w klasycznej klamrze historii literatury polskiej z etapem wileńskim. Tę klamrę tworzą dwa wspaniałe „M”: Mickiewicz i Miłosz. Przy okazji przypominamy innych twórców, pochodzących z tej ziemi, bądź dawnych kresów. W niepamięć jednak idą ci twórcy, którzy byli tu „przybyszami”. A przecież dali się zauroczyć tej Ziemi, poświęcili jej piękne karty swojej twórczości!

Gałczyński do Wilna przyjechał w roku 1934, miał zamiar tu pozostać z rodziną na zawsze. Ściągając swą żonę – *srebrną Natalię,* w postaci zaproszenia wysłał jej wiersz pt. *Szczęście w Wilnie,* wydrukowany po raz pierwszy w „Słowie” Stanisława Cat Mackiewicza. Potem stale drukował i w innych pismach

wileńskich – w „Żagarach”, dodatku do wspomnianego tytułu, w „Środach Literackich”, „Kurierze Wileńskim”. To Gałczyńskiemu zawdzięczamy romantyczną, pomarańczowo-zieloną aurę miasta, pełną zaczarowanych dorożek, *„płynących w mglistość”*, z Gerwazeńkiem i Protazeńkiem, strażnikami mitu grodu nad Wilią.

Gałczyńscy mieszkali na Zarzeczu, przy ul. Młynowej 2, tuż przy dzisiejszym placu z pomnikiem Anioła Zarzecza, przy *„Wilence, rzeczce małej, swarliwej, / łkającej czarno, ciemno, po rosyjsku”*. Innym razem o niej napisze: *„Płynie Wilenka-rzeczka, księżyc w rzeczce jak świeczka.”* Zastali przychylną atmosferę, Gałczyński otrzymał wiele propozycji współpracy, w Celi Konrada uczestniczył w wieczorach literackich, niestety, jak pisze w *Albumie Wileńskie* Stanisław Lorentz, nie udała się Środa Literacka z poetą, który się opóźnił bardzo, a gdy już przyszedł, nie był wcale w stanie czytać wierszy…

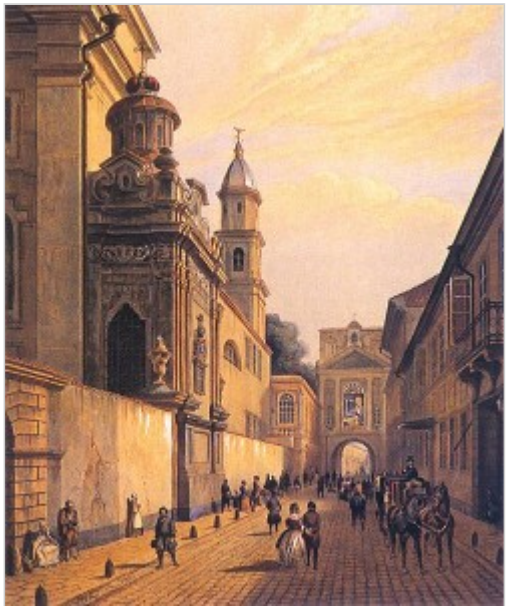

Zygmunt Vogel, Wilno. Kaplica w Ostrej Bramie. Biblioteka Jagiellońska w Krakowie.

Codziennie wędrował autor *Zielonej Gęsi* swoimi dróżkami, bądź przez Ogród Bernardyński, Plac Katedralny do kawiarni „Literackiej", bądź do Oddziału Wileńskiego Związku Literatów Polskich na Ostrobramskiej 9, bądź do Rozgłośni Polskiego Radia. Spotykał się z wieloma Wilnianami, rozmawiał, obserwował, pisał, również sporo dla „Smorgonii", radiowego kabaretu satyrycznego w Wilnie – cotygodniowy felieton. Dla Rozgłośni Wileńskiej napisał słuchowisko *Taniec elfów* – satyrę na stosunki szkolne, której tekst zaginął.

W dodatku literackim do „Kuriera Wileńskiego", wydanego na prima aprilis – 1 kwietnia 1935 roku pod redakcją Adolfa Pirmasa, a pod tym pseudonimem wydrukowali swe satyryczne wiersze Teodor Bujnicki, Jan Huszcza, Czesław Miłosz, Jerzy Putrament, Aleksander Rymkiewicz i Jerzy Zagórski, umieszczono też równolegle wiersz pt. *Depresja wileńska,* stylizowany pod gwarę wileńską, którego autorem był niejaki Karakuliambro. Pod tym pseudonimem krył się Gałczyński.

Tak inne od miast Rzeczypospolitej, ze swoją bogatą architekturą, różnojęzyczną mową ludzką, Wilno Gałczyńskiemu nie mogło nie dać wiele wspaniałego natchnienia. Wiersze otrzymały tu wiele ciepła, zanurzanego w otoczce tajemniczości, szeptanej słowami wielkiej miłości do niedawno poślubionej żony.

Kryło jednak Wilno i pewną zagadkę, która często zostawała nieodgadnięta dla ludzi tu przybywających. Otóż co sprawia, że magiczności miasta bywa za mało, żeby tu pozostać, żeby „wżyć się", żeby nie powstawały nieporozumienia z „tutejszymi". Czyżby trzeba tu się urodzić, aby rozumieć sedno tej ziemi? Gałczyński podzielił los Witolda Hulewicza – nie „znalazł się" w tym mieście i po nieudanych próbach osiągnięcia stabilizacji życiowej i przełamania kryzysu materialnego, po dwóch latach zamieszkania na Zarzeczu, w roku 1936 opuścił Wilno.

Napisał o mieście wiele pięknych wierszy, że wymienię te, które mają przymiotnik „wileński" bądź nazwę miasta w tytule. Prócz *Szczęścia w Wilnie* są to: *Elegie wileńskie, Noc w Wilnie, Wilno, ulica Wileńska, Wileńskie imbroglio.* Gałczyński uwiecznił ulice – Młynową, Szklaną, Gaona, Mylną, Podwójną, a szczególnie Niemiecką, która dla niego była jedną z najbardziej fascynujących ulic w mieście. W wierszach przywołuje często Mickiewicza, utrwalił też ludzi sobie współczesnych – m. in. Henryka Kunę, Henryka Dembińskiego, Iwo Jaworskiego,

Malfreda Kridla, Józefa Maślińskiego.

Z wędrówek po Wileńszczyźnie powstał wiersz *Duchy w Ornianach, czyli Prolog.* Orniany to wówczas majątek męża Hanki Ordonównej (Tyszkiewiczowej), w którym Gałczyńscy kilkakrotnie gościli. Upłynęło im tu lato 1935 roku – od połowy czerwca do połowy września. Poeta napisał dla pieśniarki program estradowy, teksty do melodii angielskich i francuskich. Niezwykle popularna artystka miała w swym repertuarze piosenki *Gałązka wiśni* i *Szafirowa romanca,* w jej stałym repertuarze były *Buty szewca Szymona,* do których teksty napisał właśnie Gałczyński.

W ciągu dwóch lat powstało około 60 utworów. Już po tym, jak Gałczyńscy przenieśli się do Warszawy i zamieszkali w Aninie, napisał nie tyle Wilnu, co sobie gorzki wiersz pt. *Wciąż uciekamy,* choć przed dwoma laty była to szczęśliwa „Farlandia" (od angielskich słów *far land* – daleki kraj), zaś 26 kwietnia 1936 roku tu na świat przyszła Kira. To rozstanie dojrzewało wcześniej, w wierszu, napisanym w tymże roku, poeta Natalii miał na okarynie zagwizdać *„o naszym wielkim bólu w małym Wilnie".* Podobno nie wszystkim podobało się, że Gałczyński „wyśmiewa" wileńską polszczyznę, jak odebrali niektórzy *Piosenki naczelnika wydziału grobownictwa.* Nie mogły się też podobać wypowiedzi poety, że Wilno ma tak dalece charakter rosyjskiej prowincji, iż wydaje się, jakby tu za chwilę miał

zjechać rewizor…

Miasto będzie wspominać w latach późniejszych – m. in. w *„Jubileuszowej" rozmowie z Kirą,* a w 1939 roku, tuż przed wybuchem wojny stwierdzi: *„A zachód jak witraż burguncki / roztłukł się już nad Wilnem."*

Ale – jak już wspominałem – Gałczyński nie tylko w Wilnie pisał wiersze. Powstało niemało bardzo ciekawych felietonów, przedstawiających specyfikę miasta i jego mieszkańców, napisanych z werwą, barwnie i z humorem. Szkoda, że większość z nich zaginęła, głównie w redakcji warszawskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego", który z większego cyklu wydrukował tylko trzy utwory. Są to *Wileńska jesień, Humpty-Dumpty, Sekta „Mazaro" zbiera na Gwiazdkę dla dzieci*. Z „wileńkich" rzeczy odnotować należy też *„Ze czcią o Tobie mówimy, Wieszczu!"* i szczególnie *Serdeczności wileńskie.* Ten ostatni felieton zaczyna się słowami:

„W dalekim cudacznym Wilnie – ludzie serdeczni. Co chwila słyszy się: – Kochanieńki, gołąbko, miłość uczyń, na herbatkę przyjdź! Z pierogami!

Ludność mówi po polsku z rosyjska, po rosyjsku z polska, na dobrą sprawę sam czort nie wie, o co tym ludziom chodzi. We mgle dusze zgubili. Bełkocą. Serdeczność za to niesłychana.

Oczywiście za serdeczność trzeba płacić serdecznością. Gorzej tylko, gdy np. ma się mieszkanie z wanną.”

Gdzie indziej czytamy:



Zygmunt Vogel, Kościół Misjonarzy w Wilnie. Muzeum Narodowe, Kraków.

„Magia słów: Rzeczywiście jest zmierzch wieczorny nad Wilnem. Powinienem zapalić lampę, ale jakoś – nie chce się. Otwieram okno na tę cudowną jesień 1934… Balladami o romansami pachnie… Po tych ulicach chodził… Przystawał… Zamyślał się… Ucho natężał ciekawie… Chłopak zadziorny. Tu w Wilnie nad jego czułymi wierszami płakali najprostsi. A przecież był poetą <<awangardy>>. Jakie to dziwne. A jakie proste!”

Klimat wileński świetnie też przedstawiony jest w przezabawnym

felietonie *Humpty-Dumpty:*

„Teoria i praktyka pojedynków wileńskich (po francusku: les duels vilains) jest zasadniczo taka sama jak i gdzie indziej, Z tą różnicą, że w Wilnie pojedynki odbywają się nieomal co tydzień. Zawsze przecie znajdzie się zagadnienie, którego nie sposób rozwiązać inaczej. Np. pan A. powie poufnie o panu B., że pan B. nie jest intelektualistą. Oczywiście w osobie pana B. cały kraj czuje się dotknięty do żywego. I naturalnie sprawa honorowa, humpty-dumpty."

Vilniana Gałczyńskiego są bardzo różnorodne. Obraz życia w mieście maluje człowiek niejako bezstronny, wrażliwy i wykształcony, mający skale porównawczą bycia w niejednym miejscu. Po przeczytaniu felietonów wyłania się obraz miasta „z charakterem", pełen kolorytu, harmonii, ale i sprzeczności. Pełen też niezwykłego piękna, jakby to była kraina, stworzona dla zakochanych i artystów…

Artykuł ukazał się w „Liście oceanicznym", dodatku kulturalnym „Gazety" z Toronto, 2003 r.

Cichy bohater



Aleksandra Ziółkowska-Boehm i Nrman Boehm, Warszawa, fot. arch. rodzinne.

Nie jest żadnym odkryciem, że na drodze do NATO Polska nie miała samych sojuszników. Wśród sił, które – z różnych przyczyn – nie były zachwycone tą perspektywą, znalazła się część

amerykańskich elit politycznych i tamtejszej opinii publicznej.

W przełamywaniu negatywnego stosunku odegrało rolę wiele osób, znanych i nieznanych. Do tych drugich należy, niedawno zmarły, Norman Boehm (1938–2016). Ten Amerykanin o szwedzko-niemieckich korzeniach bezinteresownie i z powodzeniem włączył się w kampanię na rzecz Polski.

Kim był? Najkrócej – człowiekiem sukcesu, prywatnie – kuzynem wielkiej aktorki Ingrid Bergman. Wszechstronnie wykształcony (studia chemiczne i prawnicze), pracował w charakterze menedżera w koncernach naftowych ARAMCO (Arabian American Oil Company) w Arabii Saudyjskiej, dla Exxon (Esso) w Anglii, Norwegii i Teksasie. Zasłynął w 1976 roku wynegocjowaniem największego kontraktu w historii Esso i Shell, dotyczącego szybów wiertniczych na Morzu Północnym, na zawrotną ówcześnie kwotę 462 milionów dolarów. Zgodnie z najlepszą amerykańską tradycją miał też za sobą służbę wojskową, jako pilot marynarki wojennej.

Szczęśliwym zrządzeniem losu był mężem Aleksandry Ziółkowskiej, polskiej pisarki, zaangażowanej na rzecz Polski i Polaków na trudnym amerykańskim terenie. To jej zawdzięczamy, że Norman stał się – jak napisała – „niemal polskim patriotą”. Nie znając polskiego, zadał sobie trud poznania i zrozumienia niełatwej dla obcokrajowca polskiej

historii. Wiedza ta stała się solidnym „oprzyrządowaniem" merytorycznym, gdy zaczynała się Wielka Gra o NATO. Dodatkowym atutem były jego umiejętności negocjacyjne oraz znajomość specyfiki amerykańskiego rynku politycznego z jego mechanizmami i niuansami.

Kluczowe znaczenie dla decyzji USA o przyjęciu Polski miał Senat. Autor *Polskiej drogi do NATO* (Wrocław 2006) Jan Nowak–Jeziorański szacował, że około 1/3 amerykańskich senatorów stoi po przeciwnej stronie barykady. Aleksandra i Norman Boehm odegrali istotną rolę w ich reorientacji. Akcja polegała na zasypywaniu biur senatorskich listami i interwencjami. Norman Boehm wykorzystywał również media, w tym lokalne, co zmuszało indagowanych polityków do wyjaśnień.

Działania o charakterze lobbingowym przebiegały dwutorowo. Z jednej strony wywierano nacisk na polityków, z drugiej – na wyborców. Tych drugich należało przekonać i pozyskać dla sprawy polskiej, by z kolei oddziaływali na swoich senatorów, stanowych i federalnych. Nowak–Jeziorański nazwał obrazowo tę technikę „masażem przez wyborców". Zaangażowanie Normana wyraziście podsumował, jako wręcz nieprawdopodobną skuteczność. – Czegoś podobnego jeszcze nie widziałem – napisał w prywatnym liście do Aleksandry Ziółkowskiej–Boehm.

Warto zaznaczyć, że Norman Boehm do końca życia pozostał

człowiekiem skromnym, ciepłym, powściągliwym i nie chwalił się swoimi dokonaniami na rzecz Polski, a było ich więcej. Takich przyjaciół brak najbardziej. Zawsze i wszędzie.

BM

Ministerstwo Obrony Narodowej

źródło:
http://www.mon.gov.pl/polska-w-nato/droga-do-nato/cichy-bohater-r2016-07-03/